

Marker

Copyright 2017 Emma Popik
Published by Emma Popik

Edition License Notes

This work is licensed under a Creative Commons
Attribution-NoDerivatives 4.0 International License.

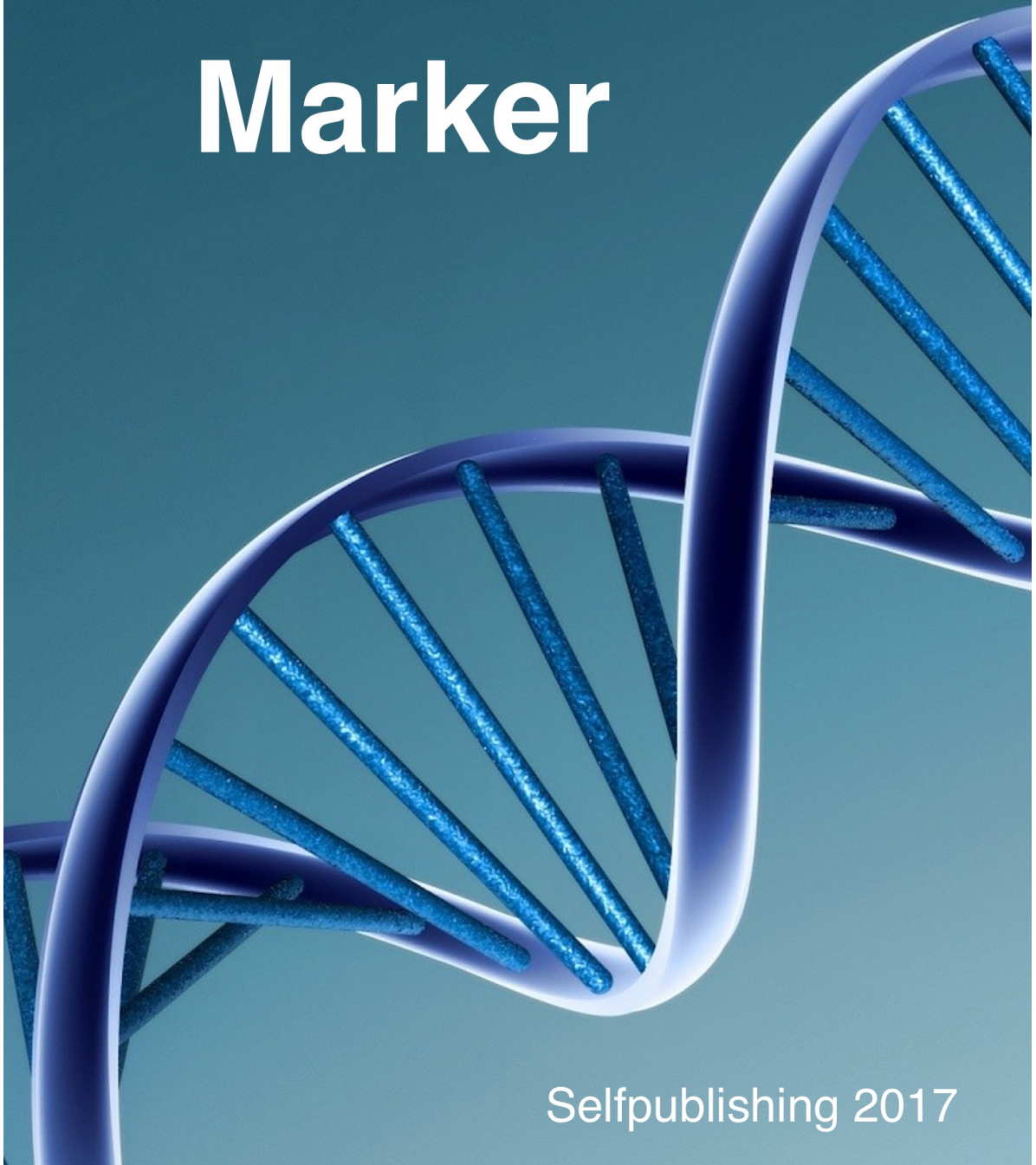
<http://creativecommons.org/licenses/by-nd/4.0/>



Wersja 1.0 PDF na urządzenia przenośne
Grafika: Copyright 2015 Test Me DNA

Emma Popik

Marker



Selfpublishing 2017

Ptaki krążyły ponad budynkami, krzycząc głośno w wilgotnym powietrzu. Zataczały pętle wokół gigantycznej anteny na dachu, służącej podobno sieci komórkowej, ale ludzie różnie o niej mówili. Ostatnio jednak rzadko podnosili głowy, więc przestali gadać i się martwić. Pory roku zachodziły jedna na drugą, żadna się nie kończyła, wciąż trwała martwa jesień. Czarne drzewa, już bez liści, stały nieruchomo. Chłopiec obudził się wcześniej, być może z powodu krzyczących ptaków, i spojrzął przez okno na bure, płaskie niebo.

Przypomniał sobie, że był to dzień jego urodzin, musi więc wydarzyć się coś znaczącego. Skończył szesnaście lat, od dzisiaj jest dorosły, podejmie wiążące decyzje, odgadnie coś ważnego. Ptaki jednak krzyczały krążąc i nie mógł się skupić nad życzeniami.

Wyciągnął ramię, uruchomiła się telewizja na szklanej ścianie. Przesuwał palcami w powietrzu, popychając obrazy, otwierając kolejne programy. Było ich zbyt wiele, by przeglądać je ręcznie, telewizor sam się nastawił na oglądane najczęściej, ale chłopiec i tak nie dałby rady nawet przelecieć wzrokiem przez wszystkie.

Nagle zaciekawiła go pewna wiadomość.

- Ostatnim odkryciem jest tak zwany marker - rzekł uczony w studio telewizyjnym. -

Nazywamy tak pewien odcinek genu, dotychczas uważany za całkowicie zbędny. -

Tu wskazał palcem na pętlę, powiększoną do wielkich rozmiarów. - Ten właśnie mikroskopijny fragment wydziela światło.

- Czy wiemy, jaką funkcję pełni ten tajemniczy rodzaj promieniowania? - przerwała mu dziennikarka prowadząca wywiad.

- Mamy pewne teorie- zaczął uczony.

- Nic konkretnego - znowu przerwała natrętna kobieta.

- Zbyt wiele raczej, wiemy jednak, że nie we wszystkich organizmach występuje ów energetyczny marker.

- Sprawdź więc, czy świecisz.

Zakończenie dowcipem było trendy. Należało pozostawić widza w dobrym nastroju albo go porazić, aby znowu wszedł na ten program. Kolejne wiadomości o wypadkach i konfliktach politycznych pomiędzy partiami nie zainteresowały chłopaka. Zobaczył przez okno, że na rogu ulicy czekają na niego kumple: Koko i Profesorek. Oparli się plecami o barierkę ogradzającą trawnik i nasunęli kaptury na głowę. Pierwszy z nich wciąż powtarzał słowa, a drugi był ciekawski, szperał w serwisach internetowych i gadał na forach. Uważał się za mądrego, pozwalał, by używano takiego pseudonimu.

Kiedy Bern podszedł, Profesorek od razu zaczął do niego wrzeszczeć.

- Ty wiesz, co mówili? Będą prowadzić badania. Mamy się zgłaszać na kontrolę.

- Do laboratorium w pustym budynku podstawówki, tam gdzie zawsze starzy chodzą na głosowanie - burknął Koko.

Po kolejnej reformie systemu dwupiętrowy budynek stał pusty. Edukacja nie przynosiła dochodów, tylko generowała koszty. Głupotą było marnować młodość na siedzenie w ławce. Niemal sto procent nastolatków miało chore kręgosłupy, opieka medyczna nie zarabiała na klientach. Wprowadzono e-nauczanie poprzez sieć.

Nauczyciele, z którymi nie było, co robić, uzyskali szansę. Chodzili do uczniów, by asystować przy uruchamianiu programów. Bankierzy odetchnęli. Budynek szkoły służył różnym celom.

W tej chwili na niebie zabłysła pierwsza błyskawica burzy nadchodzącej znad morza. Ptaki zakręciły się po raz ostatni wokół olbrzymiej anteny na dachu i przepadły, a ona stała z rozłożonymi ramionami, mierząc nimi groźnie w ziemię.

Wiwi w czerwonej obcisłej sukience, podchodziła, kręcąc biodrami.

- Hej, czy wiecie?

Na jej widok pochylili głowy i kaptury opadły im na twarz. Tylko Bern stał oparty łokciem o balustradę. Miał na sobie bluzę z kołnierzem.

Ledwo stanęła przed nimi, zaczęła się wyginać i tańczyć, podnosząc nogi aż na wysokość bioder. Chłopcy stali, gapiąc się ponuro na swoje buty, zzerani wściekłością, gdyż jeszcze nie należała do żadnego z nich.

- O, tak tańczą cheerliderki. - Unosiła nogi, pokazując stringi.

Niedaleko zabrzmiała rytmiczna muzyka i rozległ się szczekający i niezrozumiały głos z megafonu. Nadjeżdżał samochód oklejony afiszami. Czarne litery zachęcały do badań.

- Są darmowe! - Na samochodzie stał mężczyzna w zabawnym kapeluszu. -

Przyjdźcie, sprawdźcie, czy macie w sobie świecący marker.

Chłopcy nie podnieśli głów. Koko szarpał małe kajdanki u paska od spodni, przymocowane do szyfrowego zamka. Otwierał drzwi do piwnicy jego domu, gdzie wybielił celę z tapczanem, wciąż czekającą. Obracał coraz szybciej kajdankami i zaciskał szczęki, czerwone pantofle Wiwi, doprowadzały go do szału.

- Chodź! - Przyzwała ręką Berna. - Tam na pewno będą cheerliderki. Dołączę do grupy, zobaczysz, wbiegnę na boisko.

Pociągnęła go za rękę, chłopcy się oderwali od barierki i szli za nimi, człapiąc butami i zamiatając ubłoconymi sznurowadłami.

- Słyszałam, że ten marker jest odpowiedzialny za zachowanie człowieka - Spojrzała mu w oczy - Pełni decydującą rolę jako wyznacznik osobowości czy charakteru.

- Dlatego nazywa się marker. - Profesorek wszystko wiedział lepiej.

- Podkreśla jak markerem jakąś cechę, no nie?

Profesorek kiwnął głową.

- Ciekawe, jaką cechę? - zapytał Bern.

- Okrucieństwo, pociąg do gwałtownych czynów, po prostu bandyterkę. - Wiwi podskakiwała bez troski.

- To znaczy, kto ma ten marker, będzie zbrodniarzem. - Spod kaptura zabrzmiał ponury głos Profesorka.

- Sadystą i gwałtciелеm. - Zabrzęczały kajdanki, którymi się zabawiał Koko.

Podeszli do budynku podstawówki, gdzie odbywały się badania przesiewowe. Wiwi spojrzała na boisko, czy dziewczyny przygotowują się do występu. Zatrzymała się, czekając, aż wybiegną. Chłopcy stanęli po obu jej bokach.

- Nie idziecie na badania? - Bern przeszedł przez bramkę.

Profesorek wzruszył ramionami, a Koko siąknął głośno nosem.

- Im to po co? - Wiwi poklepała Koko po plecach. - To fajne chłopaki, nie są pedofilami czy gwałtciелami. Znamy się od dziecka, mieszkają w naszej dzielnicy.

Profesorek milczał, a Koko zaśmiał się nerwowo.

- Mnie interesuje, jakie mam inklinacje. - Bern się zatrzymał. - Dowiem się, czego mogę się po sobie spodziewać i w porę się cofnąć albo iść na terapię.

Kiedy zniknął w budynku, Wiwi wciąż czekała na występy, jednak kolorowe dziewczyny w spódniczkach nie zakrywających stringów nie wybiegały na boisko.

Profesorek trącił łokciem kumpla.

- Wiesz, ja mam albumy, no stare książki na papierze - zaczął bajer. - Teraz takich nie ma.

- Przecież wszystko jest w komórce. - Koko nie załapał.

- Na każdej kartce są rozrysowane figury do tańca cheerliderek. - Profesorek walnął łokciem Koko. - Osobno pokazują, jak podnosić ręce i nogi, a potem obrót i rytm, i z powrotem.

- No, wszystko. - Koko wreszcie skumał.

- Możemy ci pokazać ten album. Gdybyś chciała poćwiczyć. - Profesorek spod kaptura rzucił spojrzenie na Wiwi.

- Chodź, nie mamy czasu.- Trącił go Koko. - Pokażesz jej kiedy indziej.

- Kartki są stare, farba się utlenia, kolory znikają. Za jakiś czas pewnie jeszcze coś się zobaczy.- Ruszył przed siebie, a koleś za nim.

- Poczekajcie. - Biegła za nimi. - Jesteśmy kumplami.

Przyspieszyli.

- Zatańczę dla was, patrzcie.

- Nie tutaj. - Koko oblizał wargi i pochwycił kajdanki.

Kiedy badania się skończyły, Bern wyszedł. Koledzy stali za płotem jak przedtem.

- A gdzie Wiwi? - Dał im pliki ulotek i ankiet.

- Poszła ćwiczyć kroki cheerliderek. - Profesorek rozłożył nogi w przysiadzie, a Koko zachichotał.

- Co to za śmieci? - Profesorek rozkładał kartki ankiet.- Czy lubisz oglądać horrory? - przeczytał pytanie.

- No, wyłącznie. - Koko pokazał zęby.

- Czy w dzieciństwie dręczyłeś zwierzęta?

- Nie tylko w dzieciństwie. - Koko patrzył na latające ptaki, ale były zbyt wysoko, aby trafić je kamieniem.

- Dużo tego. - Profesorek zgniótł kartki. - Co ja będę z tego miał?

- Jeżeli na większość pytań dasz twierdzące odpowiedzi, to znaczy, że musisz się strzec, gdyż twój marker jest bardzo niestabilny. - Bern pochwycił Koko za ramię, bo mu wchodził pod nogi.

- Co to znaczy? - Koko ścisnął jego rękę.

- Popelnisz każde świństwo przy byle okazji.

- Na przykład, jak cię poprosi kolega. - Koko wykręcił mu ramię.

- Albo kiedy będziesz chciał zrobić uprzejmość koleżance. - Profesorek wyzwolił ramię Berna z uścisku.

- Łatwo zejdziesz na złe drogi. - Bern potarł ramię. - Jeśli masz niestabilny marker, sąd weźmie to pod uwagę i bardzo możliwe, że dostaniesz niski wyrok lub pójdiesz na leczenie.

- A ty jaki masz? - Koko stanął przed nim.

- On nie ma wcale. - Profesorek odepchnął Koko. - Mamusia go zbyt krótko trzyma.

-No, gadaj! Masz w sobie marker mordercy? – Koko pochwycił go za bluzę.

Niebo rozświetliła błyskawica, przecinająca niebo z góry na dół.

- A co teraz dzieje się nad morzem! - Profesorek zapobiegał bójce. - Fale przeleją się poza falochron.

Koko puścił bluzę Berna.

- Jeden krok i cię zmywa w głębie, ciało zezrą ryby, a mamusia kupi je potem na święta. - Profesorek mlasnął.

- W taką burzę woda wyrzuca fanty na brzeg – rzekł Koko – obłowisz się na cały rok.

- Kiedyś znaleźliśmy marynarza - powiedział Profesorek - zgadnij, ile kasy miał przy sobie?

- Obszukaliście nieżywego? - Bern się cofnął.

- A co, boisz się dotknąć trupa, he, he - zarechotał Koko.

- Patrzcie, jaką mam wiadomość. - Profesorek podetknął im pod oczy ekran komórki.

Z wypiekami na twarzy przeczytali wiadomość: „Na plaży znaleziono worek z marihuaną o wartości 140 mln dolarów”.

- Idziemy! - Profesorek przyspieszył. - A ty czemu się ociągasz? Nie chcesz być bogaty?

Chłopiec poruszył przecząco głową. Chciał oczywiście mieć kasę. Mógłby gdzieś zaprosić Wiwi, do kina, na lody albo nawet do klubu, gdzie kręcą się pod sufitem kolorowe światła i grzmi muzyka, ale nie zmusi się do obmacywania trupa marynarza, a gdyby znalazł narkotyki, to przecież nie będzie ich paczkował w piwnicy i proponował na rogu małodatom.

Piwnica! To słowo przypomniało mu, że dziewczyny nie ma, a Koko mówił coś o tapczanie w piwnicy. Spojrzał na kumpla, przy jego pasku nie było zamka szyfrowego, zaczepionego o małe kajdanki.

- Idźcie przodem. - Zatrzymał się. - Dogonię was.
- Mamusia kazała ci się zameldować? - Koko pacnął Berna w czoło.
- Chcesz, żeby poszła do twoich starych mnie szukać?
- Zostaw palanta. - Profesorek klepnął Berna. - Niech idzie.

W biurze badań, umieszczonym w byłej szkole podstawowej, trwała tajna narada w gabinecie należącym uprzednio do dyrektora. Przedstawiciel koncernu farmaceutycznego, doktor Gwild przyglądał się z zadowoleniem słupkom z liczbami. Liczba osób, których krew odpowiedziała pozytywnie na odczynnik, okazała się znaczna. A były to dane z tej i kilku innych dzielnic.

- Dysponujemy lekarstwem obniżającym poziom promieniowania markera. - Zdjął okulary. - Nie likwiduje go jednak. - Ujął okulary. - Konieczne jest długotrwałe stosowanie.
- I w dużych dawkach. - Prawnik koncernu stawiał znak plus na liście pacjentów, licząc ich w pamięci. - Zapewnią wysoki zysk producentom.
- Nie może się pan chyba spodziewać, że będziemy go rozdawać za darmo. - Gwild wcisnął na nos okulary. - Prowadziliśmy badania całymimi latami.
- To zaskakujące oświadczenie. - Prawnik nakreślił krechę pod ostatnim nazwiskiem.
- Przecież marker wykryto niedawno.

Doktor Gwild docisnął okulary.

- Oczekiwaliśmy określonych rezultatów. Orientujemy się w kierunkach badań, śledzimy postępy prac uczonych. - Znowu docisnął okulary i nareszcie zobaczył drogę obrony. - Gdybyśmy nie monitorowali prac uniwersytetów, nigdy nie moglibyśmy dotrzymać kroku odkryciom, a wtedy nie opracowalibyśmy lekarstw na

czas. – Podniósł wzrok na prawnika. - A jakie szkody ponieśli by na zdrowiu chorzy ludzie! Cierieliby bez pomocy i ratunku. Mieliby do nas słuszne pretensje.

- Zostalibyście zasypani pozwami pacjentów, a każdy z nich byłby zasadny. -

Prawnik coś gryzmolił na liście pacjentów.

- W krótkim czasie poszlibyśmy z torbami. Musimy niejako uprzedzać to, co na rynek wypuszczają uczeni, aby od razu dać kontrprodukt.

- Przekonał mnie pan. - Prawnik namazał czarną kropkę pod spodem - Możemy pomóc wam i cierpiącym ludziom. Zaproponujemy pomoc prawną osobnikom o niestabilnym markerze. - Dorysował zawijasy i kropka zamieniła się w znak paragrafu. - Możecie ogłosić, że wymagają długotrwałego leczenia. Jeden warunek: zostaną odizolowani od społeczeństwa.

- W więzieniach? To wymagałoby procesów, a nie zawsze możemy liczyć na przychylność sędziów dla naszego programu. - Gwild zdjął okulary i chuchnął na oba szkła.

- Nowocześnie zorganizowane społeczeństwo dysponuje różnego rodzaju zakładami zamkniętymi, od szpitali począwszy, gdyż do tych placówek należałoby rozpocząć wycofywanie niebezpiecznych osobników. - Paragrafy pokryły listę pacjentów

- Rozumiem, że aplikowano by im nasz środek leczniczy. - Gwild energicznie czyścił szkła.

Prawnik odłożył ołówek.

- Jak kwalifikować osoby zagrożone? - Doktor Gwild wytrzeszczał oczy. - Coś prostego i skutecznego.

- Nie możemy czekać latami, zanim zaczną popełniać czyny zabronione, łamać prawo i przepisy, a gdyby szkodliwość czynu była niska, wówczas czas oczekiwania na decyzję jeszcze by się wydłużył.

- Przecież markery promieniują światło w różnym natężeniu.- Okulary Gwilda lśniły czystością. - Natężenie emisji można obliczyć. Wystarczy prosty algorytm.

- Znajdziemy.

- A profilaktyka? - Niezmierna troska brzmiała w pytaniu Gwilda. - Zapobiega destabilizacji markera we krwi osób, które go mają.

- Moja kancelaria zajmie się dostarczaniem wezwań na piśmie do osób, które mają marker, i algorytm wykazał niestabilność. - Prawnik wstał z krzesła.

- Lub jej prawdopodobieństwo - uzupełnił doktor.

- Takie osobniki będą zdecydowanie wykluczone ze społeczeństwa. - Prawnik dosunął krzesło do stołu.

Okulary lśniły radością, Gwilda widział gigantyczne zyski.

- Jest jeszcze jeden problem do rozwiązania. - Prawnik sięgnął po listę pacjentów ze stołu.

Doktor spojrzał z wiarą i nadzieją.

- Musimy obliczyć udział w zyskach think tanku, który wymyślił ten projekt.

W oczach doktora była sama miłość.

Bern stanął przed drzwiami piwnicy, z wnętrza nie dochodził żaden dźwięk.

Rozglądał się ostrożnie, by sprawdzić czy nikt z lokatorów akurat nie nadchodzi, bo było tak dziwnie w tej klatce schodowej, że jeśli wyszła jedna osoba coś załatwić, na przykład, wziąć ulotki z supermarketów, zaraz wychodzili następni, jakby również

mieli sprawę. Na szczęście na schodach panowała cisza. Obejrzał dokładnie zamek szyfrowy, był zabawką, niemniej jednak podważenie go wymagało siły i zręczności. Wziął jakieś żelastwo, które zawsze się poniewierało na korytarzu i zahaczył nim zamek. Właśnie usłyszał kroki osoby schodzącej z piętra. Rozejrzał się: nie było gdzie uciec. Jeśli Wiwi zacznie wołać o pomoc, zostanie osądzony, miał marker, i to niestabilny, dostanie wyrok profilaktycznie. Powolne kroki się zbliżały, szła starsza kobieta z parteru, której wszystko cuchnęło. Rozpłaszczył się na ścianie, człapała kapciami. Nagle schylił się i udawał, że zawiązuje sznurowadło, nie było go widać w mroku. Kobieta zatrzymała się przy oknie. Przechyliła butelkę z wodą ponad doniczkami. Jakże długo ciurkała woda. Zaszleściły suche liście, które zerwała, stuknęły przestawiane doniczki.

"O, Wiwi, jeśli żyjesz, nie zacznij teraz krzyczeć".

Człapiące kroki się oddaliły, zazgrzytał klucz w zamku, skrzypnęły drzwi, szcęknęła zasuwka na drzwiach wewnętrznych, zapiszczały zawiasy, łomot drzwi, skrzypienie zamków. Cisza, nagle szcęk otwieranych drzwi. Serce podskoczyło mu do gardła, z piwnicy dobiegł jakiś dźwięk. Sąsiadka dociągnęła drzwi wewnętrzne.

Zamek szyfrowy spadł na betonową podłogę. Bern zmarł. Metalowe rozwarły się szeroko. Wiwi leżała na wprost na tapczanie. Rozłożone nogi zostały przywiązane drutem za kostki, sukienka podciągnięta, stringi zabrane do wąchania. Małe kajdanki ujmowały w przegubach ręce, skrzyżowane na piersi. Widok wkopał go w ziemię, gdyż miał przed sobą to, o czym nawet nie był w stanie pomyśleć.

- Nie rób mi krzywdy, Bern.

Położył palec na ustach i zamknął za sobą drzwi, a potem rzucił się do odginania drutu z jej kostek. To nie było trudne, nie wiedział, jak otworzyć kajdanki. Wkładał koniec druta do zamka, wreszcie po wielu próbach odgięły się i dziewczyna zeskoczyła z tapczanu, obciągając sukienkę. Nie oglądając się na chłopca, wybiegła z piwnicy i potem runęła w górę po schodach, gnana strachem. Od razu zapomniała o chłopcu, który ją oswobodził. Bern powoli schował kajdanki do kieszeni. Wetknął je do ręki Koko. "Ale czy warto?"

Patrzyli na olbrzymiego walenia, którego woda wyrzuciła na brzeg. Jego głowa była oplątana siecią, sięgającą poza szpary wydechowe, dusił się powoli. Co chwila się błyskało i fale rosły. Koko trzymał nóż i zabierał się do rozcięcia brzucha zwierzęcia.

- Nie rób tego! - Bern dobiegał, wołając.

- A bo co? Zobaczę, co ma w środku.

- Będzie cuchnęło! - Bern łapał oddech. - Trzeba go zepchnąć do morza!

- Niech zdycha! - Koko podniósł rękę z nożem.

- Bern ma rację - wtrącił się Profesorek. - Jeśli go zostawimy, będzie cuchnął jeszcze bardziej, i to przez całe miesiące. Nie będziemy mogli tu przychodzić.

- Pomóżcie mi. - Bern usiłował zepchnąć zwierzę. Koledzy stali, gapiąc się, tylko Koko opuścił ramię z nożem.

Obszedł zwierzę i podkopywał piasek od strony morza, a woda podmywała walenia. Błyskawice cięły niebo, fale uderzały o zwierzę, wpychając je głębiej na brzeg. Lunał deszcz, kumple odbiegli. Bern wyłobził już rynnę w piasku i woda podmywała ciało zwierzęcia, jeszcze kilka ruchów i garści piasku i fala zabrała walenia w morze. Bern

pochwycił sieć, mocował się ściągając. Nadbiegła wielka fala, zmiotła ich w głębie, chłopiec zacisnął palce na sieci, nie puszczał, coś pociągnęło go w głębie.

Kiedy odzyskał przytomność, poczuł, że leży na czymś miękkim. Słyszał szum deszczu, krople nie padały mu na twarz. Otworzył oczy, zobaczył ponad sobą deski pomostu, łączącego morze z plażą. Zwierzę unosiło go od dołu, póki nie uzyskało pewności, że odzyskał siły i może się wspinać na górę po drewnianych stopniach.

Kiedy już tam się znalazł, spojrzął na wodę: wielkie zwierzę wciąż krążyło, żegnając się z nim, a potem odpłynęło na pełne morze.

Kiedy Bern wrócił do domu i zmienił ubranie, pomyślał, że przeszedł inicjację w dniu urodzin i teraz będzie silniejszy, potrafi więc walczyć z niestabilnym markerem i żadne światło migoczące wewnątrz jego organizmu nie pozwoli mu zbłądzić na manowce.

Sąsiadka, która wciąż tkwiła w oknie, widziała, że najpierw wybiegła dziewczyna, a potem Bern. Został oskarżony, a dowodem były kajdanki, które znaleziono w jego kieszeni. Nikt go nie pytał, czy unieruchomił nimi ręce dziewczyny. Posłużono się jej zeznaniami, pomijając fakt, że nie została wykorzystana, gdyż chłopcy tylko patrzyli. Byli zbyt tchórzliwi, by się posunąć do czegoś więcej.

Po pewnym czasie do drzwi zastukał listonosz, który roznosił przesyłki rejestrowane, kazał mu się podpisać w rubryce. Bern został zabrany i dostawał podwójną dawkę lekarstwa, siedząc w domu odosobnienia dla takich jak on.

Zdolni młodzi ludzie z think tanku nadal ćwiczyli swoje genialne mózgi. Nic więc dziwnego, że chociaż nikt się tego nie spodziewał i nie mógł dowieść, antena na dachu budynku okazała się bardzo szkodliwa, zakłócając fale mózgowie i powodując

upośledzenie umysłowe, bo dzieci nie chciały chodzić do podstawówki. Ulicą jeździł samochód obklejony plakatami, proponujący poddanie się badaniom, co umożliwi obliczenie dawki nowego leku. Zachęcano szczególnie do przyjścia kobiety w ciąży.

Koniec

O autorce

Emma Popik - ukończyłam filologię polską, napisałam pracę magisterską u pani prof. Marii Janion. Pani profesor zaproponowała mi temat rozprawy doktorskiej.

Otrzymałam nakaz pracy, uczyłam w szkole podstawowej, a po roku w średniej. Zaproponowano mi stanowisko asystentki w Wyższej Szkole Nauczycielskiej w Bydgoszczy. Porzucałam te zajęcia, poniechałam również studiów doktoranckich. Pracowałam jako redaktor w Wydawnictwie Instytutu Morskiego. Zaczęłam się interesować fenomenem UFO, szukając wewnętrznych reguł i ukrytych praw rządzących rzeczywistością.

Zamieszczałam artykuły na ten temat w czasopismach poświęconym temu zjawisku USA i w Wielkiej Brytanii, w rezultacie zaproszono mnie do amerykańskiego stowarzyszenia "Mutual UFO Network". Moje artykuły zostały przetłumaczone i zamieszczone w wielu krajach - w Finlandii, Anglii i nawet w Chinach, co stało się bez moich starań. Porzuciłam te zainteresowania, uznawszy, że stoją za nimi ziemskie firmy lotnicze wielkich mocarstw, starające się ukryć doświadczenia naukowe z dziedziny przemysłu wojennego.

Pisałam wiersze i poświęcono stronę na ich zaprezentowanie w gdańskim czasopiśmie literackim "Literey". Redagował je Antek Fac, który pokazywał twórczość gdańskich pisarzy i zasłużył się w kulturze. Wkrótce wydawnictwo "Iskry" wydało "Almanach literacki młodych", zamieszczając w nim również moje wiersze.

Pisałam wiele opowiadań fantastycznych, zbierając je w tom i przygotowując do druku. Pierwsze moje opowiadanie wydrukowałam pod nazwiskiem Emma Popiss na łamach "Fantastyki" w 1983 roku w numerze 3. Nosiło tytuł "Mistrz". Zaliczono je do stu najlepszych polskich opowiadań. Pierwszy tom opowiadań ukazał się w roku 1986 pod tytułem "Tylko Ziemia". Moje opowiadania zamieszczano również w czasopismach, na przykład w "Przeglądzie Technicznym". W latach osiemdziesiątych ukazywało się wiele książek z gatunku sf, toteż moje nazwisko się w nich pojawiała. Odnotowano je również w "Oxford Dictionary of Contemporary World Literature" i to w dwóch kolejnych latach.

Po roku 1989 wpadły w kłopoty duże wydawnictwa państwowe, jak "Iskry" i "Czytelnik". Wszystko się zmieniało, szukano funduszy na książki. Maciek Parowski, redaktor naczelny "Fantastyki" zdołał zdobyć fundusze na wydanie almanachu "Co większe muchy". Jako honorarium sprezentował autorom egzemplarze książki, dziękujemy mu za to bardzo. Były to trudne lata, polscy pisarze byli w niełasce, czytelnicy odczuwali ogromne zainteresowanie autorami kultury zachodniej, do której nareszcie otrzymali szeroki dostęp. W roku 1989 wyjechałam do Londynu, zaproszona przez towarzystwo "Mutual UFO Network" na zjazd ufologiczny. Wysokie honoraria autorskie za dwie książki, wydane tuż przed wyjazdem, zapewniły swobodny tam pobyt, bez konieczności podejmowania pracy przez czas jakiś. Powróciłam do kraju w 1995 roku. Związałam się z pewnym wydawnictwem, tłumaczyłam i wydawałam książki. Od roku 2000 byłam redaktorem naczelną miesięcznika "Nowy Kurier Nadbałtycki". Wydawcą był Wydział Edukacji Urzędu Miejskiego w Gdańsku. Wydawca zamknął czasopismo 31 grudnia roku 2011. Byłam redaktorem prowadzącą periodyku "Gazeta WPiA UG". Pisałam do dzielnicowej "Twojej Gazety".

Kontakt z autorką

Strona domowa: <http://www.emmapopik.pl>

Twitter: <https://twitter.com/EmmaPopik>

Facebook: <https://www.facebook.com/emmapopik>

LinkedIn: <https://www.linkedin.com/in/emmapopik>

Inne książki dostępne : <http://www.rw2010.pl>